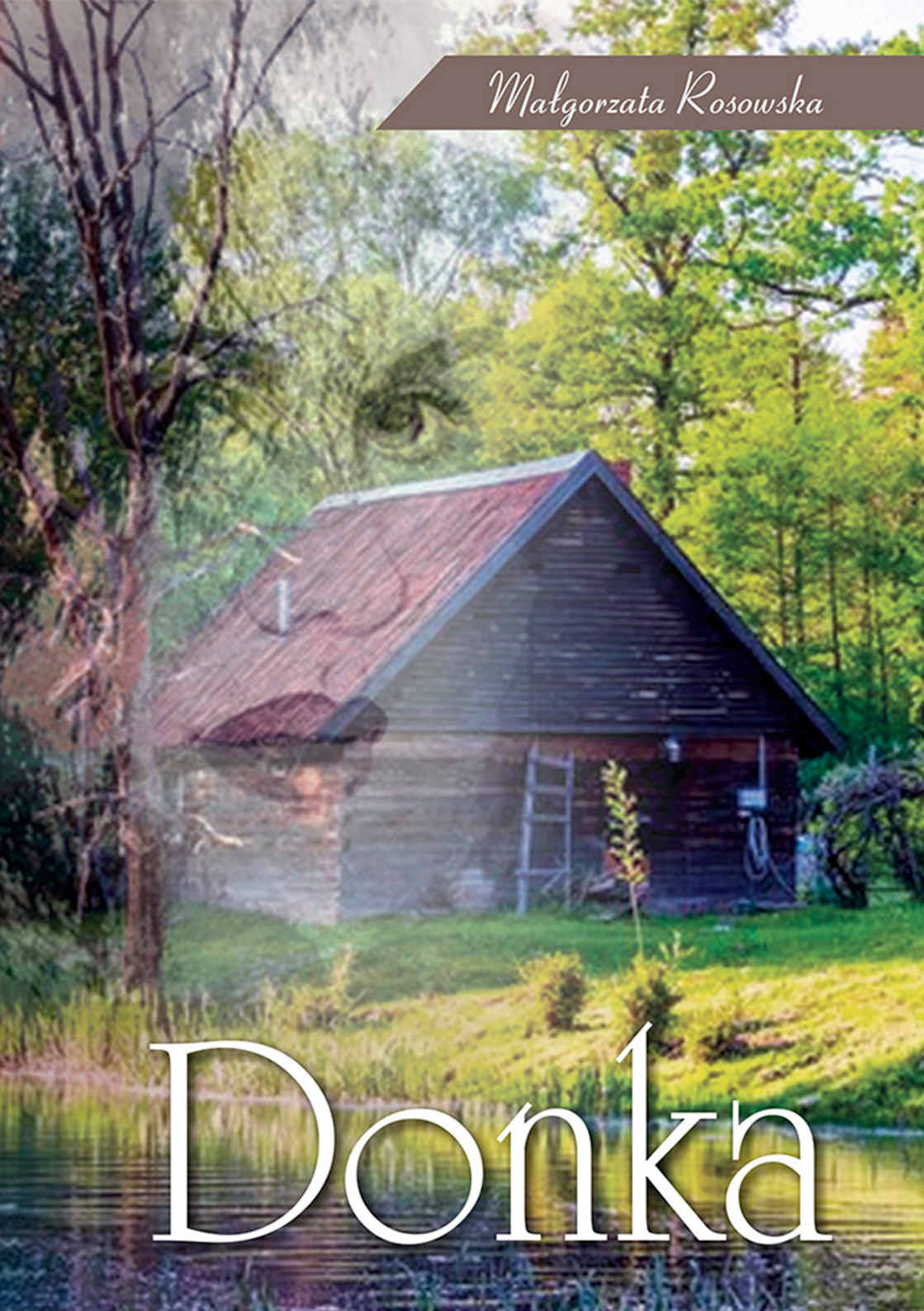


A rustic wooden cabin with a red roof is nestled in a lush green forest. A large, detailed eye is superimposed on the background, looking directly at the viewer. The cabin has a ladder leaning against its side and is surrounded by tall trees and green grass. The scene is reflected in a body of water in the foreground.

Małgorzata Rosowska

Donka

Małgorzata Rosowska

Donka

Skierniewice 2023

[Kup książkę](#)

ISBN 978-83-7987-022-6
ISBN eBook 978-83-7987-023-3

Copyright © by Małgorzata Rosowska

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione.

Koncepcja okładki – Małgorzata Rosowska

Korekta – Krystyna Kostarska

Skład – Rafał Lisowski

Wydawca:

Wydawnictwo SIGMA Sp. J.

96–100 Skierniewice, ul. Trzcńska 21/23

e-mail: poczta@sigma-wydawnictwo.com.pl

www.sigma-wydawnictwo.com.pl

LIPIEC 1970

TAK UPALNEGO LATA nie pamiętali nawet najstarsi mieszkańcy Dobrego Miasta. Komendant posterunku miejscowej milicji Kazimierz Łobacz co chwilę wycierał czoło chusteczką, po czym natychmiast na powrót zalewał się potem. Sięgnął po kolejną butelkę wody. Upił spory łyk i skrzywił się z niesmakiem. Przy sąsiednim biurku siedział młody, dwudziestoosmioletni milicjant Dobrosław Brzoska. Szeregowiec z rozbawieniem obserwował całą sytuację. Wiedział, że zaraz nastąpi wybuch. Dobrze znał swojego przełożonego.

– Cholera, nienawidzę ciepłej wody! – krzyknął Łobacz. – Kiedy wreszcie naprawią tę lodówkę?

– Melduję, że mieli być dziś rano... – odpowiedział Dobrosław, tłumiąc eksplozję śmiechu.

– O ile znam się na zegarku, to dochodzi południe – złośliwie zauważył Kazimierz. – Rano to już chyba było, co?! Rusz tylek. Niech ktoś wreszcie przyjdzie, bo jak ja tam pójde, to z tego zakładu tylko szyld zostanie! – milicjant sapał, wycierając kolejny raz czoło.

– Tak jest! – młody zerwał się i wybiegł z posterunku, jakby właśnie czekał na te słowa.

Komendant podszedł do małego, zakratowanego okna, które wychodziło na miejski park. Panował tam ogromny gwar. Trwały przygotowania do wielkiego święta. Robotnicy układali elementy trybuny, która docelowo miała stanąć we wschodniej części parku. Kobiety wycinały z kolorowego papieru wielki napis: 22 LIPCA 1970. Inne plotły jakieś wianki i robiły bukiety z biało-czerwonej

bibuły. Dzieci jak to dzieci, biegały między drzewami, dając upust swym niespożytym siłom, skutecznie przy tym przeszkadzając dorosłym. Szykowała się wielka feta z występami, tańcami, straganami i alkoholem. Podczas takich świąt wśród trunków przeważały tanie wino, piwo i oczywiście samogon. Łobacz najbardziej obawiał się tego, co zwykle następuje po spożyciu większych ilości owych zacnych napojów. Pracował na tym posterunku już dwadzieścia lat i wiedział, jak takie imprezy się kończą. Wszczynane masowo burdy są na porządku dziennym. Areszt pęka w szwach. Zdarzają się poważne wykroczenia, jednak większość z nich określa się mianem niskiej szkodliwości. W takich wypadkach zatrzymani wychodzą zazwyczaj następnego dnia. Zostaje po nich pękata teczka z notatkami i smród wymiocin. Do sprzątania nikt się nie garnie i wtedy komendant osobiście idzie na patrol. Przede wszystkim ucieka przed obrzydliwym fetorem, ale głównie chodzi mu o złapanie jakiegoś delikwenta i zmuszenie go do sprzątania. W ten sposób niejeden „odrabiał” swój całkiem niewinny grzeszek.

Łobacz obserwował swojego podwładnego, który zwinnymi ruchami mijał wszystkie przeszkody i szybkim krokiem zmierzał do punktu naprawy lodówek. Za chwilę młody zniknął za zakrętem.

Brzoska żwawo wszedł w wąską uliczkę i natychmiast zwolnił. Wiedział, że komendant już go nie widzi. Bo przecież tego, że stoi przy oknie i do końca obserwuje, był pewien na tysiąc procent – cały Łobacz. Wszystko musiał mieć pod kontrolą, choć sam niewiele z siebie dawał. Wolał się wysługiwać innymi. Nie lubiano go, ale mało kto lubi stróżów prawa. Chociaż Dobrosława mieszkańcy tolerowali. Był młody, ambitny i nie zdążył zaleźć za skórę. Zresztą wielu mu zwyczajnie współczuło. Matka kilka lat temu zmarła na koklusz. Ojciec praktycznie nie trzeźwiał. Dobrosław, jako najstarszy z czworga rodzeństwa, był właściwie głową rodziny. Bolesław, młodszy brat, mimo że skończył dwadzieścia wiosen, nie rwał się do pracy. Zamiast tego wolał zadawać się z szemranym towarzystwem, co dla Dobrosława było dodatkowym powodem do zmartwień. Siedemnastoletnia Justyna jakiś czas temu skończyła kurs krawiecki i czasem z tego szycia wpadło jej parę groszy. Zwykle wydawała je na kosmetyki. Raczej nie dokładała się do budżetu rodzinnego. Twierdziła, że gotowanie dla tylu osób i sprzątanie,

to już zbyt wiele, bo ona po śmierci matki zajmowała się domem. Był jeszcze dwunastoletni Ziemowit. Skończył szóstą klasę. Zdolny i ułożony chłopak. Dobrosław miał nadzieję, że chociaż on wyjdzie na ludzi. Zresztą obiecał matce, że doloży wszelkich starań, by Zimek skończył odpowiednie szkoły. Może nawet studia...

Brzoska w zamyśleniu nie zauważył nawet, że minął punkt napraw.

– Cholera! – mruknął pod nosem. – Gdzie ja mam łeb?!

Mężczyzna postanowił skrócić sobie nieco drogę i pójść przez mały skwer. Z daleka zauważył parę siedzącą na ławeczce. Obeymowali się bezwstydnie. Dziewczyna trzymała głowę na ramieniu chłopaka, a ten głaskał ją i przytulał. Dobrosław postanowił wylegitymować zakochanych i wlepić obojgu mandat za nieobyczajne zachowanie. Podeszedł bliżej i stanął jak wryty. Już wiedział, że mandatu nie będzie...

– Bolek! – ryknął. – Co ty tu robisz?! To tak szukasz pracy?!

– Chryste, Dobrek, aleś mnie wystraszył! – Bolesław na widok starszego brata natychmiast oderwał się od dziewczyny i stanął prawie na baczność.

– Mówilem, żebyś mnie tak nie nazywał!

– Przecież tak się do ciebie zwracamy...

– Ale w domu! Teraz jestem na służbie, jakbyś nie zauważył – wyprostował się, chcąc podkreślić powagę i rangę wypowiedzianych słów. Dopiero po chwili spojrzał na skuloną na ławce dziewczynę. Zamurowało go. – Coś ty za jedna?! – jeszcze bardziej podniósł głos.

– Milada... – szepnęła dziewczyna.

– Że jak?

– Milada...

– Imię! – milicjant wyjął mały notesik.

– Toż mówię... Milada...

– Obywatelka sobie żarty stroi, czy co?!

– Nie stroję, panie milicjancie. Mam na imię Milada.

– To w takim razie proszę podać nazwisko!

– Koszor... Milada Koszor, proszę pana... – dziewczyna podniosła wzrok. Jej oczy były pełne łez.

– Cyganka? – Brzoska podeszedł nieco bliżej.

– Daj spokój! – Bolesław zastąpił drogę bratu. – Pozwól nam odejść.

– Za takie zachowanie należy się mandat!

– Za jakie zachowanie?! Nic złego nie robiliśmy. Milada... Ona potrzebuje pomocy! Zamiast gadać o jakimś mandacie, wysłuchałbyś, co dziewczyna ma do powiedzenia! – ciskał się Bolek.

– Boluś – Milada złapała chłopaka za rękaw. – Nic nie mów.

– Dobrze sobie! – syknął Dobrosław. – Potrzebuje pomocy?! Żarty sobie stroisz?! Dobrze wiem, co tu się wyrabia! Pójdiesz ze mną. A tobie tym razem daruję – zwrócił się do dziewczyny. – Pod warunkiem, że już cię nie zobaczę z moim bratem!

– Co jej darujesz?! Ona nic nie zrobiła! A zresztą nie będziesz mi wybierał dziewczyn! – zaperzył się Bolek.

– Właśnie, że będę!

– Ciekawe, jakim prawem?!

– A takim, że jestem starszy i mądrzejszy!

Nagle Milada zerwała się z ławki i pobiegła przed siebie.

– No i widzisz, coś narobił?!

– Uchroniłem cię przed popełnieniem życiowej głupoty! Przecież to Cyganka!

– No i co z tego, że Cyganka?! Dziewczyna jak każda inna! I na dodatek mi się podoba!

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że coś was łączy?!

– To nie twoja sprawa! Idź do diabła! – Bolek pchnął brata tak mocno, że ten osunął się na ławkę.

– Gówniarzu jeden! – Dobrosław szybko się pozbierał i ruszył w kierunku Bolka. Ten odwrócił się na pięcie i pobiegł za Miladą.

– Pokaż mi się w domu! – milicjant krzyczał za bratem. – Nogi z zadka powyrywam!

Całą sytuację obserwowali trzej chłopcy, chowający się za okazałym dębem. Dobrosław widział, że zanoszą się śmiechem.

– Wynocha mi stąd! – wrzasnął w ich kierunku.

Chłopcy czym prędzej uciekli, śmiejąc się jeszcze głośniej.

Milicjant wygładził mundur, poprawił czapkę i żwawym krokiem ruszył do punktu napraw.

BOLEK DOGONIŁ MILADĘ na drugiej ulicy.

– Kurczę, nieźle biegasz – sapał zdyszany.

– Po co mnie gonisz? Daj mi spokój. Niepotrzebnie narażasz się bratu. To przecież milicjant.

– Mam go gdzieś! Teraz ty się liczysz. Nikt inny.

– Boluś – dziewczyna nagle zatrzymała się. – Będzie lepiej, jak o mnie zapomnisz... Naprawdę... Ja przecież nie wiem, kto...

– Ani słowa! – przerwał jej chłopak. – Nie chcę słyszeć tych głupot! Nigdy cię nie zostawię, rozumiesz? Bo ja wiem, kto...

– Skąd wiesz? – wybuchnęła Milada. – Nie masz pojęcia! Tak jak ja! Nigdy się tego nie dowiemy. A jeśli ucieknę, oni mi nie wybaczą i już nie przyjmą do rodziny.

– Zostaniesz ze mną...

– Ty ich nie znasz! Przede wszystkim nie pozwolą mi odejść. Znajdą wszędzie. Gunar znajdzie.

– Nie martw się. Powiem wszystko Dobrosławowi. On na pewno pomoże...

– Tak sądzisz? Po tym jak się z nim dziś pokłóciłeś?

– No dobra, ale w końcu to milicjant!

– Nawet jeśli będzie chciał zająć się tą sprawą, to jestem pewna, że Gunar się wywinie. Jak zawsze.

– Chyba nie tym razem. Zaufaj mi. Coś wymyślę – Bolek objął szlochającą dziewczynę. – I już nie płacz. Nie wolno ci się tak denerwować.

ŁOBACZ SIĘGNAŁ PO kolejną butelkę z wodą. Niestety, ta była jeszcze cieplejsza. Zniechęcony cisnął ją w kąt.

– Gdzie ten gówniarz się podziewa? – syknął do siebie.

W tym samym momencie, jakby w odpowiedzi, pojawił się szeregowy Brzoska.

– Jesteś, łachudro!

– Melduję, że jeszcze dziś pojawi się facet z zakładu. Obiecał, że naprawi ten złom – spojrzał z wyrzutem na stojącą w kącie małą, nadgryzioną zębem czasu lodówkę.

– Tyle dobrego z tej twojej nieobecności! Coś tak długo robił?

– Sprawdziałem okolicę – skłamał Dobrosław.

– I co? Spokój?

– Póki co, spokój.
– A Konstanty?
– Ojciec pewnie siedzi w domu...
– Lepiej, żeby tak zostało. Następnym razem wsadzę go do pudła, jak zobaczę awanturującego!
– Rozumiem...
– Ktoś nowy się pojawił?
– Nie zauważyłem – Brzoska dalej kłamał jak z nut.
– To pilnuj interesu, ja idę na obiad – to mówiąc, dźwignął swoje prawie stukilogramowe ciało i ruszył do wyjścia, zapinając po drodze zbyt ciasny mundur.
– Tak jest, obywatelu komendancie – Brzoska stuknął obcasami.

Po wyjściu z posterunku Łobacz skierował swe kroki na główną ulicę, gdzie mieścił się duży sklep mięsny. Właśnie przywieźli towar i na zewnątrz jak zwykle tłoczyli się ludzie. Widząc stróża prawa, rozstąpili się. Łobacz z obojętną miną zapukał w oszklone drzwi sklepu. Po chwili pojawiła się jedna z pracownic.

– Proszę wejść, obywatelu komendancie – powiedziała, otwierając szeroko drzwi.

– Kiedy wreszcie nas wpuscicie?! – rozległ się dość odważny głos z tłumu.

– Jak kierownicza wszystko sprawdzi! – odburknęła kobieta i zatrzaskała drzwi. – Co za naród – mruknęła, prowadząc Łobacza na zaplecze. – Niecierpliwi jakby się paliło! Przecież trzeba towar sprawdzić, policzyć, podzielić co komu... Ładna pogoda, na głowę się nie leje, mogą przecież postać. Dobrze mówię?

Łobacz nie skomentował słów pracownicy. Wszedł do biura, mieszczącego się na tyłach budynku. Za mocno wysłużonym biurkiem siedziała jego żona, czterdziestoletnia Ludmiła, kierowniczka sklepu. Była to wysoka, szczupła kobieta z ciemnymi włosami, które najczęściej upinała misternie na czubku głowy. Ludzie śmiali się, że ów kok przypomina swym kształtem obwarzanek. Pani Łobaczowa nosiła okulary w grubych, czarnych oprawkach. Były tak ciężkie, że nieustannie zsuwały jej się z nosa, ale dodawały powagi i nieco profesorskiego wyglądu. Można powiedzieć, że Ludmiła była ładną kobietą i podobała się mężczyznom. Jednak

żaden z tych wzdychających bądź też z lekka zauroczonych nie ośmielił się wyrazić głośno swoich uczuć. Między innymi dlatego, że pani Łobaczowa była nieczuła na ochy i achy obcych mężczyzn. Ale przede wszystkim była żoną najważniejszego milicjanta w mieście. Który facet odważyłby się poderwać komendantową?!

Kobieta na widok męża odłożyła papiery.

– Danka, otwórz za pół godziny! – krzyknęła do pracownicy.

Po chwili wychodzili ze sklepu tylnym wyjściem.

Łobaczowie byli małżeństwem prawie dwadzieścia lat. Właściwie nigdy się nie kłócili. Każde z nich miało swoje zainteresowania i jedno drugiemu nie wchodziło w drogę. Nie mieli dzieci i nigdy oficjalnie nie ubolewali z tego powodu. Tylko raz Ludmiła wspomniała o dziecku, kiedy jej siostra, Wanda Rymut, po raz czwarty została matką.

– Popatrz, Kaziu – powiedziała wtedy do męża, – Wandzia powiła czwarte, a nam się jakoś nie udaje...

– A nie wystarczy ci, że jesteś wspaniałą ciocią? – odrzekł Łobacz.

I tu akurat miał całkowitą rację. Dzieci Wandzi w połowie zostały wychowane przez Ludmiłę. Kochała je jak swoje. A one odwzajemniały tę miłość. Najstarsza Tereska często wpadała do sklepu i naśladowała ciocię. Godzinami przekładała papiery i udawała, że pieczętuje dokumenty. Kiedy indziej po prostu siedziała i obserwowała. Miała prawie dziesięć lat. Zawsze była spokojnym, zrównoważonym, poważnym dzieckiem. Zbyt poważnym. W jej zachowaniu coś niepokoiło. Czasem lubiła zamykać się w pokoju i rozmawiać z przedmiotami. Twierdziła, że to taka zabawa, jednak wyglądało to trochę dziwnie, wręcz mrocznie. Wanda była przekonana, że jej córka jest nad wyraz inteligentną dziewczynką, obdarzoną niespotykaną wyobraźnią i stąd takie zachowanie. Siedmioletnia Zosia nie sprawiała żadnych kłopotów. Chodziła do pierwszej klasy, chętnie się uczyła i równie chętnie pomagała mamie w pracach domowych. Sprzątała swój pokój, wyprowadzała psa, kazała się czesać dokładnie jak ukochana cioteczka. A przy tym nigdy nie narzekała i nie płakała. Jednym słowem dziecko idealne. Za to Helenka psociła za całe rodzeństwo. Miała dopiero cztery lata, a już zdążyła zapisać na swoim koncie stłuczoną szybę w kuchni, zniszczoną kanapę, po-

gryzmołą ścianę w pokoju i wiele innych szkód, które siłą rzeczy, uchodziły jej płazem. Najmłodszym dzieckiem w rodzinie Rymutów był niespełna trzyletni Robuś. Odkąd się urodził był oczkiem w głowie cioci. Ludmiła tak bardzo pragnęła dziecka, że traktowała tego malca jak swojego. Kiedyś pojechała do lekarza do Olsztyna, żeby się przebadać. Chciała wiedzieć. Okazało się, że z jej strony nie ma żadnych przeciwwskazań. Mogła być matką. Lekarz powiedział, żeby przyjechał mąż. Jednak Ludmiła nigdy nie przyznała się, po co pojechała do miasta... Wolą, żeby Kazik myślał, że po prostu im się nie udaje. Kochała go. Nie chciała, by czuł się winny. Temat został zamknięty raz na zawsze.

– Na ulicach spokojnie? – rzuciła Ludmiła, chwytając męża pod rękę.

– Jak na razie tak. Ale wiesz, jak to się skończy. Banda nierobów zjedzie na święto i zacznie się rozróżba. Trzeba być czujnym.

– Dasz sobie radę – Łobaczowa spojrzała na męża z uśmiechem.

Tak naprawdę nie interesowały ją obchody ważnego w państwie święta. Myślała o tym, że Wandzia znowu podrzuci jej najmłodsze dziecko, które raptem skończyło dwa latka. Słodki chłopiec. Tak często bywa u Łobaczów, że ostatnio powiedział do Ludmiły „mamo”. Wzruszona kobieta ukradkiem ocierała łzy...

– Co dziś na obiad? – dotarł do niej głos Kazimierza.

– Chłodnik i pierogi z jagodami – odpowiedziała po namyśle.

DOBROSŁAW BRZOSKA SKOŃCZYŁ służbę. Chciał jak najszybciej dotrzeć do domu. Miał nadzieję spotkać tam Bolka. Poza tym obawiał się, że ojciec znów pójdzie w miasto. Za wszelką cenę musiał temu zapobiec. Pomyślał, że ojca jakoś spacyfikuje, ale z Bolkiem nie pójdzie mu tak łatwo. Chłopak buntował się przeciw wszystkim i wszystkiemu. Gdyby żyła matka, byłoby inaczej. Ona potrafiła zapanować nad temperamentem swoich dzieci. Męża też umiała okiełznać. Będzie już z pięć lat, jak podstępna choroba zabrała ją z tego świata. Zimek akurat szedł do pierwszej klasy. Płakał, kiedy na rozpoczęcie roku szkolnego prowadził go ojciec. Matka już nie miała siły. Ziemowit, choć mały, rozumiał, co się dzieje. Mądry chłopak.

Dobrosław dotarł do ulicy, na której mieszkał. Rodzina zajmowała mały domek. Zbudował go dziadek Brzoska. Był cieślą i przysłowiową „złotą rączką”. Potrafił naprawić wnukom rower, postawić płot, załatać dziurę w skarpecie, a nawet ulepić pierogi. Dom zbudował bez niczyjej pomocy. Gdyby chlał jak jego syn, Brzoscowie mieszkaliby pewnie pod mostem... Dziadek zmarł w pięćdziesiątym szóstym. Dobrosław dokładnie pamięta ten czas. W Polsce zaczęło się źle dziać. Dwudziestego ósmego czerwca robotnicy Zakładów Cegielskiego w Poznaniu ogłosili strajk i ruszyli pod budynek Komitetu Wojewódzkiego Partii i Urzędu Bezpieczeństwa. Padły strzały, w mieście wybuchły walki. Rozruchy stłumiły oddziały wojska. Wiele osób zginęło, a jeszcze więcej zostało aresztowanych. Władze zapowiedziały surowe represje przeciwko uczestnikom. Dziadek słuchał w radiu tych wiadomości i pewnie gdyby nie babcia, pojechałby do tego Poznania. Rwał się do walki. Uspokoił się, gdy podczas obrad VIII Plenum KC PZPR wybrano na I sekretarza Władysława Gomułkę. Brzoska uważał, zresztą jak większość Polaków, że jest to człowiek niezależny, represjonowany w okresie stalinowskim, pokrzywdzony przez system. A takiemu człowiekowi należy zaufać. Sytuacja się uspokoiła, jednak serce dziadka nie. Śmierć zastała go podczas naprawiania furtki... Właśnie tej, z którą teraz mocował się Dobrosław.

- By to szlag jasny trafił! – klął, szarpiąc metalowy skobel.
- Znów się franca zacięła! Muszę wreszcie zrobić z tym porządek!

Pokonał w końcu opór zardzewiałego żelastwa i wkroczył na podwórko. W tej samej chwili z domu wyszedł stary Brzoska.

- A ty dokąd?! – Dobrosław zastąpił ojcu drogę.
- Nie twój zasrany interes! – wrzasnął Konstanty, niezdarne próbując ominąć syna. Roztaczał wokół siebie obrzydliwą woń z lekka już przetrawionego taniego wina. – Zejdź mi z drogi, smarkaczu!

- Nigdzie nie pójdziesz!
- Że niby mi zabronisz? – stary roześmiał się ironicznie. – Milicjancik od siedmiu boleści. Idź wlepić mandaty babom na targu albo dzieciakom pod szkołą – wykrzykiwał, nie przestając się śmiać.